

The Tablet 2011

Marakesz

W meczecie na podłodze siedziało kilku mężczyzn. Rozglądali się w różne strony, recytując jednocześnie słowa Koranu. Dźwięk ich śpiewów nie był aż tak melodyjny jak w przypadku naszej liturgii, ale wypełnił wnętrze intensywnymi emocjami i tęsknotą serca za Bogiem. Na zewnątrz na dziedzińcu inni mężczyźni zebrani w kilku grupach odwracali głowy na wszystkie strony, rozmawiając lub wsłuchując się we wszechobecny hałas Marrakeszu. Wszyscy oni byli niewidomi.

Ten meczet został założony przez Sidi Bel Abbesa, świętego patrona miasta, nauczyciela z dwunastego wieku, który karmił w nim ubogich i otworzył muzułmański przytułek dla niewidomych. Jest on jednym z siedmiu świętych z Marrakeszu. Oprócz niego poczet świętych rozciąga się od trędowatego muzułmanina żyjącego w dwunastym wieku, poprzez teologów i prawników aż do pewnego nieugiętego wojownika z szesnastego wieku, walczącego przeciwko Portugalczykom. W przeszłości każdy kupiec, który przyjeżdżał do miasta, musiał najpierw odwiedzić jego siedem zawij* i grobowców, zanim przystąpił do interesów.

Nasza grupa międzyreligijnego dialogu, jak większość zebranych tu religijnych ludzi, zmagala się, by znaleźć czas – zanim nie zmorzy nas sen – na wspólną modlitwę w napiętym harmonogramie międzywyznaniowych dyskusji. Propozycja wspólnej pielgrzymki do grobowców świętych Marrakeszu spotkała się jednak z wielkim entuzjazmem i od razu wyruszyliśmy w buddyjskich, benedyktyńskich, sufickich i hinduskich szatach, jarmułkach i ubraniach świeckich. Zapewne na pierwszy rzut oka wyglądaliśmy, jak pacjenci szpitala psychiatrycznego prosto z „Lotu nad kukułczym gniazdem”.

Naszym przewodnikiem był wielce szanowany szejik, dzięki niemu wielu z nas otworzyło się na nową perspektywę „dzielenia się praktykami”. Jak to zwykle bywa w tego typu spotkaniach był to oczywisty temat rozmów, dopóki w grę nie wchodziły szczegóły praktyki. Wtedy to wychodzą na jaw wszystkie zawiłości i niuanse i „dzielenie się” staje się bardziej skomplikowane. Odwiedzaliśmy kolejne święte meczety, szejik wygłaszał krótkie wprowadzenie, a następnie zwracając się twarzą w stronę grobowca, zaczynał się modlić. Dla większości z nas to była niezwykła modlitwa – dramatyczny monolog w języku arabskim, obejmujący krótkie wzmianki o życiu i nauczaniu świętych, prośbę o opiekę i błogosławieństwo, i jak wyjaśnił mój tłumacz, zapewnienie poszczególnego świętego, że nasza wizyta jest mu bardzo miła.

Szejik jest powszechnie szanowanym znawcą islamu i uznanym w całym islamskim świecie politycznym aktywistą przeciwstawiającym się jego radykalizacji, przez co niejednokrotnie otrzymywał groźby śmierci. Teraz jawił się jako osoba głęboko religijna, a jego przejmujące modlitwy i ekstatyczny ton głosu wyrażały uczucia, które zgromadzeni miejscowi wierni przyjmowali jako oczywiste i normalne. Jednocześnie gdyby podczas modlitwy zadzwonił komuś z nich telefon, bez skrzepowania wyszliby, aby go odebrać. Dla reszty z nas, zwłaszcza dla mnie emocjonalnie zablokowanego Anglika i kilku racjonalnych buddystów, trudno było być kimś innym niż tylko obserwatorem. Odnosiliśmy się z szacunkiem do tej praktyki, lecz nie mogliśmy w niej w pełni uczestniczyć. Zbyt bezpośredni kontakt z

czymś, w co nie możesz się całkowicie włączyć sprawia, że twój szacunek zmienia się co najwyżej w tolerancję. Cokolwiek więcej poza tą granicą może przynieść jedynie efekty odwrotne od zamierzonych.

Tego wieczoru rozpoczynał się szabat i Żydzi chcieli nam pokazać, jak bardzo jest im drogi ten dzień odpoczynku. Wcześniej rozmawialiśmy o możliwych korzyściach, jakie mogą przynieść nasze rozmowy, np. w formie prostej praktyki dostrzegania świętego czasu i przestrzeni w kulturze zdominowanej przez kult zakupów. Wobec szabatu na nowo stawiliśmy czoła wyzwaniu, by podzielić się tym, co kochamy z ludźmi, którzy mają inne poglądy i nie do końca rozumieją nasze własne duchowe upodobania. Oto nowe pytania dla naszych czasów.

Dialog międzyreligijny został zapoczątkowany przez kupców przybywających z różnych stron świata, by sprzedawać swoje wyroby garncarskie, przyprawy czy ubrania. Kiedy siadali razem wokół ogniska w Samarkandzie, wymieniali się nie tylko pomysłami i przekonaniem, lecz także religijnymi praktykami. Żadna religia nie może odciąć się od wpływu, jaki wywierały na nią inne religie poprzez ten dialog naszych przodków. Ale dziś presja nasiliła się, a dialog zmienił się w świadome działania – nieodzowny element ciągłego utrzymywania pokoju w świecie. Dialog nas wzajemnie ubogaca, ale wciąż sprawia trudności, gdyż nie wyczerpuje się on w uczonych dysputach i organizacji podniosłych uroczystości przez poszczególnych przywódców religijnych. Powinien on zstąpić do korzeni poszczególnych tradycji duchowych, tak by poprzez nie można było lepiej poznać swoją własną tradycję. Być może udałoby się nawet stworzyć jakąś uniwersalną praktykę, która byłaby do zaakceptowania przez wszystkich; przyznaję jednak, że nie wiem, jak tego dokonać. Bez wątpienia uniwersalna jest cisza, nie stwarza zagrożenia dla ludzi o otwartych umysłach, jest kojąca i jednocząca.

Wracaliśmy do tętniących straganów Marrakeszu, gdzie zewnętrzny chaos zagłuszał ludzkie pragnienie ładu, a małe sklepiki i stragany uginały się od różnych towarów – mis z czerwonymi i pomarańczowymi przyprawami, koszy z ziołami, stosów owoców i przyborów kuchennych. Gryzący dym ze straganów z jedzeniem unosił się wokoło. Tam kupno i sprzedaż zależy od człowieka i jego osobowości, w przeciwieństwie do zmechanizowanych kas w naszych samoobsługowych supermarketach, których towary krzyczą do nas poprzez swój ofensywny marketing i nieekonomiczne opakowania. Jak powrócić do korzeni nawet w tej dziedzinie? Tak jak dym, przenikaliśmy ten otaczający nas równoległy w słońcu skąpany świat, niby cienie dla miejscowych ludzi, wiedząc, lecz także zastanawiając się stale, co nas wszystkich łączy.

With love

Laurence Freeman OSB

Styczeń 2011

Tłum. Agnieszka Borowiecka

* Zawija: budynek lub zespół budynków będący siedzibą muzułmańskiego bractwa religijnego, zwłaszcza bractwa sufich (WSWO PWN). Przyp. tłum.

Drogi myśli

Podczas kolacji siedziałem obok francuskiego filozofa, z którym dzieliłem mównicę podczas weekendu i z ulgą zauważyłem, że stąpa on po ziemi mocniej, niż to sobie wyobrażałem. Jadł ze smakiem swój posiłek i popijał go dużą ilością czerwonego wina, niezważając nawet, że zbliża się jego wykład. Słuchał uważnie, śmiał się serdecznie z dobrych dowcipów, cieszył się swoją wolnością ducha i czuł się dobrze ze swoimi osobliwościami.

W kwestiach religijnych Bertrand Vergely stał się głosem narodu we Francji, z przekonaniem podważając powszechny redukcjonizm i trywialne powody przemawiające za odrzuceniem religii. Jest on wielkim obrońcą dobrej religii i autentycznej duchowości; jest człowiekiem głębi z silnym poczuciem misji. Jego cykl o wielkich filozofach sprzedaje się w dużym nakładzie. Prawosławna wiara i duchowość zmusiły go do szukania nowego języka dla starych prawd.

„Le Chemin de la Pensee” – Droga myśli – był to temat naszej weekendowej konferencji francuskich medytujących chrześcijan. Nie wyobrażam sobie, by jakakolwiek inna Wspólnota Medytacji Chrześcijańskiej wybrała sobie taki temat do rozważań. Uczestnicy to artyści, intelektualiści, ludzie biznesu. Wszyscy oni byli zgodni co do tego, że sztuka medytacji, tak jak ją opisał Ewagriusz z Pontu, jeden z Ojców pustyni z IV wieku, polega na „odłożeniu na bok wszystkich myśli” lub jak określił to jego uczeń Jan Kasjan „na wyrzeczeniu się całego bogactwa myśli i wyobrażeń”. Jednak rozmyślanie nad tym przez cały długi weekend, to już należy raczej do rzadkości.

Tak bardzo żyjemy naszymi myślami, nie dziwi więc nikogo pogląd, iż myślenie to nasza najważniejsza umiejętność. Podziwiamy zdolność czystego myślenia, kreatywnego myślenia i – szczególnie w świecie anglosaskim – myślenia praktycznego. Dlatego podejście do modlitwy wolnej od myślenia stanowi prawdziwy dylemat; wyzwanie dla intelektu, które łatwiej odrzucić, niż spróbować zrozumieć. Świeckie podejście do medytacji też uczy „opuszczenia” myślenia. Jednak ze względu na to, że kładzie ono nacisk na praktyczne korzyści płynące z medytacji, jak obniżenie cholesterolu lub poprawę jakości snu, to śmiałe stwierdzenia odnośnie natury modlitwy – co dotyka samego sedna natury religii – nie są przedmiotem jego zainteresowania.

Trzeba więc tęgiego umysłu francuskiego filozofa, by rozważyć, dlaczego modlitwa ma nas oderwać od naszych myśli. Ze względu na subtelność tematu, dobrze było rozpatrzyć go w aspekcie zmysłowym i cielesnym. W ten sposób nie zagubiliśmy się w natłoku myśli, a nasze pomysły były jak ładunki odpalane przez umysł wprost do kory mózgowej; krążąc w systemie neurologicznym, wywoływały dreszcze zrozumienia i olśnienia – dotknięcia prawdy.

Przypominam, że wśród słuchaczy byli głównie Francuzi – a oni kochają idee dla samych idei. Uczestnictwo w świątłych intelektualnych rozgrywkach było dla zebranych wielką przyjemnością. I choć sami nie byli filozofami, podziwiali jak wprawiony umysł wspaniale generuje i przesyła im raz po raz świeżą porcję racjonalnie zorganizowanych spostrzeżeń. Co ciekawe, codzienna dyscyplina praktykowania ciszy, wyciszenia umysłu – gdy wykracza on poza swoje mentalne i

emocjonalne funkcje – była czymś, co nas wszystkich łączyło. Proste widzenie, bez patrzenia na coś konkretnego.

Jako jedyny przedstawiciel anglosaso-celtów odgrywałem moją rolę w tym przedstawieniu, z podziwem, z jakim Anglicy zawsze darzą swych zamierzchłych wrogów. Niektórzy zwolennicy europejskiego federalizmu pytają dziś, na ile realistyczny jest sen o europejskiej wspólnocie politycznej. Brytyjczycy, którzy uważają się za centrum Europy, znów patrzą porozumiewawczo z boku. Bo przecież dla nich ciągle mgła nad kanałem La Manche (w Anglii zwanym kanałem Angielskim) oznacza odcięcie Europy. I gdy Euro trzęsie się w posadach, do głosu dochodzą stare mechanizmy napędzane niewiarygodnymi różnicami temperamentów i gustów, które zarówno łączą jak i dzielą najbliższych sąsiadów. Ale kiedy nie obowiązują zasady politycznej poprawności i nie trzeba prosić bogatszych kuzynów o kolejne miliardy, by wybrnąć z finansowych kłopotów, Europejczycy naśmiewają się z tych różnic w żartach wymyślanych na siebie nawzajem, komicznych karykaturach i satyrycznych stereotypach. Tak to radzimy sobie z różnorodnością, wśród tych, których tak naprawdę wiele łączy. Być może jest to właśnie nowy rodzaj mistycyzmu, którego Europa teraz tak bardzo potrzebuje.

Bo przecież wystarczy poczytać pisma Ojców Kościoła, Filokalia czy dzieła Karla Rahnera, żeby dostrzec, że nasza europejska potrzeba zrozumienia tajemnicy, której zrozumieć się nie da, jest niepohamowana. Próby osiągnięcia tego są jedną z radości życia, obok muzyki, sztuki, wykwintnych potraw i wina. Życie duchowe ma swój intelektualny apetyt, który w ten czy inny sposób trzeba pielęgnować i zaspokajać. Dobre wykształcenie i odważni teologowie są niezbędni, by go usatysfakcjonować. W dniu, w którym dokonał się rozłam między teologią a modlitwą, nastąpiło pęknięcie w chrześcijańskiej świadomości, które oddzieliło nas od „zamyślenia Chrystusowego” i od dawnego tętniącego życiem europejskiego chrześcijaństwa.

Ilekoć religia lęka się światłej myśli, to staje się równie szkodliwa społecznie jak wtedy, kiedy zapomina, że dobrze jest niekiedy „odłożyć myśli na bok”. I tak zarówno Vergely, jak i francuscy medytatorzy zgodzili się, że choć są myśli, to poza nimi jest sama Myśl czysta.

With love

Laurence Freeman OSB

luty 2011

Tłum. Agnieszka Borowiecka

Medytacja w klasie ekonomicznej

Przeglądając mój harmonogram podróży na 2011, pomyślałem o tym, jak to św. Benedykt nie pochwalał oddalania się mnichów od swoich klasztorów. Zabraniał im nawet, bez specjalnego pozwolenia, spożywania posiłków podczas podróży - mimo iż wiedział, że było to zalecenie nierealne. Zdawał sobie też sprawę z tego, że mnisi będą pili wino. „Picie wina nie przystoi mnichom” – mawiał – „ale ponieważ w naszych czasach w żaden sposób nie udaje się im tego wyperswadować, umówmy się

przynajmniej, że mnich nie będzie pił go w nadmiarze”. Sugerował, aby mnisi ograniczyli się do jednej „heminy” dziennie – nikt jednak nie wie, ile to było – szacunki wahają się od jednej do trzech pełnych kwaterek. Ta miara jest prawdopodobnie podana żartobliwie, ponieważ św. Benedykt wiedział doskonale, że wszystkie odstępstwa od reguły muszą być traktowane ze szczyptą humoru. Odstępstwa od reguły stałości też mają podobny zakres elastyczności. Jednak wyjazd, tak jak każdy grzech, zawiera karę w samym sobie. Przynajmniej jeden ze znajomch mi opatów podróżuje dwa razy więcej ode mnie. Obaj stwierdziliśmy, że częste podróże to nie sielanka, choć mogą stać się źródłem irytacji i zawiści dla tych, którym przyszło siedzieć na jednym miejscu. Trudności podróży znali dobrze średniowieczni mnisi irlandzcy, chociaż ich wyprawy otwartymi łodziami i bosa pielgrzymki przez niebezpieczne kraje błędą w porównaniu z dzisiejszymi odhumanizowanymi podróżami lotniczymi.

Głównym sposobem św. Benedykta na to, by mnisi podczas podróży pielęgowali uważność, były modlitwy o ściśle wyznaczonych porach dnia. Przekonałem się, że to bardzo użyteczna metoda. Pierwszym, który uświadomił mi, że nawet środkowe miejsce w klasie ekonomicznej może być miejscem modlitwy, był ojciec Bede Griffiths. W podeszłym wieku przemierzał świat z energią duchową porównywalną do siły wybuchu supernowej. Sądziłem, że nie znosi samolotów, a on tymczasem zaskoczył mnie, mówiąc, że jest wprost przeciwnie: „Zauważ, nikt ci nie przeszkadza, na czas podają posiłki i możesz modlić się lub czytać, kiedy tylko zechcesz”.

Według św. Benedykta najważniejszym obowiązkiem mnicha jest modlitwa brewiarzowa odprawiana siedem razy dziennie. To harmonizuje wszystkie inne czynności dnia, takie jak praca fizyczna czy lektura. Zatrzymania na modlitwę nadawały im pewien rytm, sens i cel. Nie potrzebowalibyśmy ani brewiarza, ani żadnej innej duchowej dyscypliny, gdybyśmy nie zapominali tak szybko o tym, co oczywiste. Dziś w zachodnich społecznościach już nie mnisi, lecz modlący się pięć razy dziennie muzułmanie są największymi świadkami przeplatania się tego, co świeckie z tym, co święte. Momenty, kiedy stawiamy Boga w centrum zdarzeń ożywiają duszę i niwelują stres spowodowany pracą. Da się je przeżyć w dowolnym miejscu. I tak na przykład można otrzymywać mailem czytania brewiarza na dany dzień i odmawiać je z blackberry pomiędzy kolejnymi spotkaniami w pracy.

Jednak św. Benedykt nie ograniczał się jedynie do modlitwy brewiarzowej, raczej traktował ją jako drogę do głębszej modlitwy. Wiele osób w naszym „klasztocie bez ścian” odmawia brewiarz jako przygotowanie do porannej i wieczornej medytacji. Jeden z głównych doradców MFW, który regularnie medytuje w tradycji chrześcijańskiej, wygłosił niedawno prelekcję o Johnie Mainie na Uniwersytecie w Georgetown/USA. Ludzie słuchali uważnie, kiedy mówił o tym, jak medytacja wpływa na jego pracę. Jednakże zaznaczył: „Nie medytuję tylko dla tych korzyści”, wskazując na różnice pomiędzy fizycznymi i psychologicznymi korzyściami medytacji, a jej duchowymi owocami jako modlitwy. Wtedy ktoś zadał mu pytanie, które chyba było na ustach wszystkich: „Jak w nawale zajęć znajdujesz czas na medytację?”. Odpowiedział krótko i bardziej przekonująco, niż zrobiłby to niejeden mnich. „Czas nie jest tutaj żadnym problemem. Jeśli chcesz coś zrobić naprawdę, znajdziesz na to czas”.

Na moje podróże składa się wiele rekolekcji, więc łatwo jest mi zachować

wyznaczony czas na regularną modlitwę. Jednak centralną sprawą jest uświęcenie czasu podczas Eucharystii. Kontemplatywne celebrowanie Eucharystii jest moim ulubionym sposobem jej odprowadzania, bo wtedy medytujemy po komunii świętej. Rozumienie rytuału jako obecności uwalnia nas od zerkania z lękiem na zegarek w ciągłym pośpiechu, by wykonać kolejną czynność obrzędu, zanim jeszcze nie zakończyliśmy poprzedniej – tak jak w telewizji reklamowany jest już następny program, zanim skończy się ten, który właśnie oglądasz.

Konsumpcjonizm to fałszywa natychmiastowość czegoś, co dopiero będzie. Modlitwa to obecność tu i teraz. Podekscytowanie, jakie odczuwamy z kupowania nowych rzeczy, znika wraz z ich rozpakowaniem. Gratyfikacja płynąca z modlitwy przenika nas w głąb aż do bezdennej studni szczęścia. Medytacja, podobnie jak celebrowanie mszy świętej, z lekkością i swobodą, uwalnia nas od konsumpcjonizmu, gdyż jest ona, za wzorem Chrystusa, sztuką dawania siebie. To sztuka dzielenia się, a nie pożądania. Czas przeznaczony na łamanie się Słowem i odkrywania bogactwa jego znaczeń jest czasem jednoczenia się umysłu i serca.

Miejmy nadzieję, że toczące się w Kościele dyskusje wprowadzenia więcej okresów ciszy w liturgię mszy świętej przyjdą nam tu z pomocą. Pamiętajmy jednak uwagę św. Augustyna, że to nie słowa płynące z ust, lecz komunie dusz tworzy sakrament. Co więcej, może się to nie udać nawet jeżeli nigdy nie opuszcza się klasztoru, a powieść niespodziewanie – od czasu do czasu – gdy się siedzi wciśniętym w środkowe miejsce w klasie ekonomicznej.

With love

Laurence Freeman OSB

marzec 2011

Tłum. Agnieszka Borowiecka

Strażnik

Międzywyznaniowa kaplica w północnym budynku więzienia znajduje się o ćwierć mili pieszo od pierwszych zamykanych jedna po drugiej bram. Żegnani raz po raz metalowym dźwiękiem zapadających się rygli idziemy pustym korytarzem, mijając wiszące na ścianach posępne rysunki więźniów. Każda z okratowanych bram odcina nas coraz bardziej od świata pozostawionego na zewnątrz i czuje się, jak kontrolę przejmuje świat z wewnątrz.

„Instytucja totalna” to bardzo trafne określenie tego miejsca. Po raz pierwszy użyto go w ubiegłym wieku w naukach społecznych, by opisać miejsca, gdzie potrzeby ludzi zapewnia bezosobowy biurokratyczny system i gdzie dostęp do informacji jest ograniczany w celu zachowania pełnej kontroli. Rodzina i dom – oraz wszystko to, co się z nimi łączy – są surowo zabronione. Więzienia niemal automatycznie kojarzą się instytucją totalną. Ale oprócz więzień zalicza się do nich także szpitale psychiatryczne, internaty szkolne, domy zakonne w dawnych czasach, sekty religijne, a także – co ciekawe – statki pasażerskie, czy też niektóre letnie obozy. Niektórzy socjologowie mówią o takich instytucjach, że konstytuują „umartwienie”.

Umartwienie ma posmak śmierci. Swego czasu był to dość popularny termin w teologii mistycznej, aczkolwiek św. Benedykt nigdy go nie używał. Wolał określenia „posłuszeństwo” czy „poddanie własnej woli”. Tu w więzieniu bardziej przystaje termin, który Simone Weil określała mianem „udręki” – stan, w którym człowiek nie tylko cierpi fizycznie, ale także jego tożsamość ulega degradacji. I chociaż w służbie więziennej pracuje wielu dobrych i świątłych ludzi i wyczuwa się u nich powołanie, by nieść pomoc więźniom w przetrwaniu ich ciężkiego losu, to jednak dziwi niezmiennie fakt, jak można we więzieniach upatrywać miejsca resocjalizacji? Chociaż nigdy nic nie wiadomo.

Duch Święty mieszka w sercu każdego człowieka, więc łatwiej niż narkotyki udaje się przemycić Go za więzienne kraty. Mała grupka więźniów, diakon i strażnik stojący u drzwi wejściowych, bacznie obserwujący wszystko i dbający o bezpieczeństwo odwiedzających - wszyscy zgromadziliśmy się w kaplicy więziennej i na chwilę nasze różne światy zlały się w jeden wspólny świat. Wiele wysiłku włożono w przygotowanie i udekorowanie tego miejsca, tak by stało się miejscem modlitwy. Z emocjonalnego i religijnego punktu widzenia niczym się ona nie wyróżnia, ale czuje się w niej atmosferę miejsca dotkniętego katastrofą, gdzie chociaż widzialne szkody zostały już naprawione, to ludzie wciąż przeżywają traumę tragedii. Ból jest głęboko skrywany, lecz niemal namacalny i prawdopodobnie właśnie dlatego więźniowie mają w sobie tę specyficzną formę godności, spotykaną tylko u ludzi, których godności pozbawiono.

W więzieniu obowiązuje zakaz odprawiania mszy świętej w niedziele, więc spotykamy się w piątek. Lecz mimo to korzystamy z czytań niedzielnych. W tę niedzielę czytana jest Ewangelia o spotkaniu Jezusa przy jakubowej studni z podwójnie napiętnowaną i wykluczoną ze społeczeństwa Samarytanką. Ta historia i zawarty w niej motyw pragnienia wody życia idealnie pasują do naszej sytuacji. Zarówno msza, jak i medytacja silnie rezonują w tym miejscu ubóstwa. Opowiadam więźniom o ich towarzyszach niedoli w zakładach zamkniętych na całym świecie, którzy zdołali zmienić to zdehumanizowane środowisko w miejsce rozwoju duchowego. I chociaż medytacja w instytucji totalnej z wielu powodów nastęcza im licznych trudności, to okazuje się, że jest możliwa. Wygląda na to, że mnie słuchają, jedni bardziej, drudzy mniej uważnie. Zauważyłem, że nawet strażnik, który teraz usiadł w ostatnim rzędzie, też przysłuchuje się temu, co mówię. Jak większość tu zgromadzonych więźniów jest katolikiem.

Medytujemy przez piętnaście minut. Wśród zebranych panuje głęboka cisza i wydaje się, że sakramentalna obecność jest z nami w pełni poprzez wewnętrzną komunie obecnych. Przynajmniej w tej jednej chwili tworzymy wspólnotę. Dokumenty Soboru w sprawie liturgii głoszą, że celem liturgii jest kultywowanie „kontemplacyjnej postawy wśród ludu Bożego”. Mam wrażenie, że właśnie teraz wydarza się to pełniej, niż w niejednej parafii. Kończę medytację i uderzam trzy razy w gong. Wszyscy jeszcze przez chwilę trwają w skupieniu. Nawet strażnik więzienny siedzi z zamkniętymi oczami. Również on z nami medytował, a jego wyciszenie to najlepszy dowód na to, że nasza krótkotrwała wspólnota została obdarowana pokojem, który może przynieść tylko prawdziwe poczucie jedności. Pojawiło się ono nawet w tym zamkniętym zakładzie, gdzie wszystko jest dokładnie sprawdzane i prześwietlane i nikomu nie ufa się do końca.

Po otwarciu oczu strażnik natychmiast wraca do swych obowiązków. I chociaż właściwie ani na moment nie przestał być strażnikiem, to teraz jest nim w bardziej ludzki sposób. Z radością godzi się na dodatkowe pięć minut, żebyśmy mogli się pożegnać.

With love

Laurence Freeman OSB

kwiecień 2011

tłum. Agnieszka Borowiecka

Cena uśmiechu

Jaka jest cena uśmiechu? To pytanie zadał jeden z prelegentów naszego seminarium Meditatio, poświęconego „Medytacji i zdrowiu psychicznemu”, obdarowując nas przy tym wyjątkowo ujmującym i uroczym uśmiechem. Uśmiech może wyrazić tak wiele, a to przecież zaledwie niewielki wysiłek mięśni twarzy i błysk w oku. Uśmiech może pokonywać duże odległości i dotrzeć na koniec sali. Może być oczywiście udawany, lecz inni łatwo to rozpoznają. Jeżeli tak, to czy od zestresowanego pracownika opieki nad zdrowiem psychicznym, który z wysiłkiem realizuje napięty harmonogram i analizuje wyniki badań swoich pacjentów, można oczekiwać uśmiechu? Twierdzę, że tak. Wiemy przecież, że śmiejemy się nie tylko wtedy, gdy czujemy się szczęśliwi, lecz także czujemy się szczęśliwi, gdy się śmiejemy. Warto więc czasem mimo wszystko zmusić się do uśmiechu, ponieważ kiedy się uśmiechamy, w naszym organizmie uaktywniają się różne substancje i sprawiają, że czujemy się lepiej, działamy bardziej efektywnie i mniej się skarżymy.

Ta przewrotna i nieco szalona logika nie odbiega aż tak bardzo, jak mogłoby się wydawać, od pewnych aspektów zdrowia psychicznego i duchowości. Na początku maja – podczas dwudniowego spotkania z chrześcijańskimi, buddyjskimi i muzułmańskimi przewodnikami duchowymi – psychiatrzy, terapeuci, pracownicy socjalni, kierownicy oddziałów ds. zdrowia psychicznego oraz osoby korzystające z takiej opieki z ośmiu krajów zastanawiali się nad tym zagadnieniem. Zadaliśmy sobie pytanie, czy istnieje związek pomiędzy duchowością a zdrowiem psychicznym i jeśli tak, to w jaki sposób włączyć aspekty duchowości w opiekę medyczną w tym zakresie?

Jeden z prelegentów zacytował pewnego terapeutę, który zapytał swego pacjenta, gdzie ten znalazł największą pomoc i wsparcie, podczas swych stanów depresji. Usłyszał w odpowiedzi: „Głównie w kościele, w modlitwie i mojej wspólnoty”. „No tak, rozumiem – drążył terapeuta, szukając bardziej zadowalającej go odpowiedzi – ale oprócz kościoła... gdzie jeszcze udzielono ci pomocy?”. To jeszcze jeden dowód podejrzliwego patrzenia na duchowość, a personel psychiatryczny i terapeutyczny i bynajmniej nie należy w tym względzie do wyjątków. Nasze instytucje świeckie przepojone są lękiem przed wszystkim, co ma konotacje z religią, a otwarte opowiedzenie się za jakąś określoną formą religijności uważane jest dziś za jedno z najbardziej niepoprawnych politycznie zachowań.

Część winy za ten stan rzeczy leży po stronie samej religii. Przewodnicy religijni zakładają, że sekularyzm równa się z odrzuceniem religii. A tymczasem jest to jedynie kwestia ponownego znalezienia miejsca dla religii w wolnym społeczeństwie. Współczesna myśl świecka zawiera w sobie przestrzeń dla przekonań religijnych i praktyki duchowej, lecz wzdraga się przed przyznaniem uprzywilejowanego statusu osobom duchowym. Takie myślenie pokutuje do dziś w umysłach przewodników religijnych. Rząd dusz i wywyższanie się to kusząca propozycja instytucji religijnych, lecz w ostateczności prowadzą one do odrzucenia religii przez instytucje świeckie. Zmiana na tym polu mogłaby przynieść zgoła odmienne efekty – szczególnie, gdy dostrzeże się głód duchowości we współczesnym świecie. Wielu wierzących profesjonalistów mogłoby wówczas przestać obawiać się krytycznych uwag swoich współpracowników, jak to ma miejsce obecnie, kiedy podejmują próbę uwzględnienia wymiaru duchowego w swej działalności zawodowej.

Nasi prelegenci seminarium medytacyjnego mieli twarde orzechy do zgryzienia. Nie jest bowiem łatwo dotrzeć zarówno do psychiatrów, pracowników służby zdrowia, pacjentów programów 12-krokowych, menadżerów, księży i mnichów. Mimo to znaleźliśmy wspólny język w medytacji, której praktyka obecna jest we wszystkich religiach i raczej wyrasta ze wspólnych korzeni, niż jest narzucana nim z góry. Najwybitniejsi przewodnicy religijni rozumieją, że korzenie są tam, gdzie działa Duch. Medytacja wyrasta z tych korzeni, gdyż odpowiada na uniwersalne pragnienie pełni i szuka uleczenia dla tego, co sprawia, że to pragnienie nie może być zaspokojone. Weźmy dla przykładu szkoły i zapobieganie anomalii zachowań wśród uczniów. Większość zaburzeń psychicznych obserwowanych u osób dorosłych objawia się już przed czternastym rokiem życia. Medytacja wprowadzana w szkołach wspiera ochronę zdrowia psychicznego – a jej wpływ na rozwój wymiaru duchowego wzmacnia poczucie wewnętrznej równowagi i pełni. Należy więc inwestować w naukę medytacji zarówno dla jej korzyści psychologicznych, jak i duchowych i zbierać jej wysokie „odsetki” społeczne i osobiste.

Nasze okresy medytacji podczas seminarium nie tylko wzmacniały poczucie wspólnotowości wśród zebranych przedstawicieli różnych religii. Psychiatrzy i terapeuci mogli również odnieść się do jej praktyki z punktu widzenia swojej profesjonalnej działalności. Jeden z nich mówił o badaniach dotyczących wpływu medytacji na ciało migdałowate – tę część mózgu, która odpowiada za gniew, strach oraz poczucie przyjemności, która decyduje, jakie wspomnienia mają być zachowane i determinuje emocjonalne nasilenie reakcji na różne bodźce zewnętrzne. Dla osób traktujących medytację, jako modlitwę serca była to namacalna ilustracja tego, jak łaska współpracuje z naszą naturą. Z kolei psychiatra lub inny pracownik służby zdrowia psychicznego mógł znaleźć inspirację dla swej pracy w duchowym wymiarze medytacji.

Pierwsi mnisi chrześcijańscy, Ojcowie Pustyni z III i IV w., dla których modlitwa w istocie oznaczała medytację, byli jednocześnie dobrymi psychologami. Zauważyli, że dzięki modlitwie umysł staje się „swoim własnym lekarzem” – było to coś, co wzbudziło szczególne zainteresowanie obecnych na seminarium psychiatrów i terapeutów. W podsumowaniu wszyscy uczestnicy byli zgodni co do tego, że konieczne są dalsze kroki w celu wdrażania medytacji – zarówno w jej aspektach duchowych, jak i zdrowotnych i leczniczych – w celu łagodzenia cierpienia psychicznego pacjentów, przy jednoczesnym traktowaniu równowagi psychicznej,

jako elementu na drodze do pełni człowieczeństwa. A wtedy i uśmiech będzie rozumiany lepiej, jako promień światła zamieszkującego w nas Ducha.

With love

Laurence Freeman OSB

maj 2011

Tłum. Agnieszka Borowiecka

Królowa nocy

Nasze rekolekcje dobiegły końca i zostało tylko kilka osób, by się pożegnać przed odjazdem. W Wenezueli dzień i noc przechodzą jedno w drugie bez ceremonii zmierzchu; i tak pomiędzy jednym i następnym naszym „do widzenia” zrobiło się ciemno. Jest w tym jakiś słodki smutek, gdy przychodzi się żegnać po kilku dniach bliskości podczas dni skupienia. Oto znów coś niezwykłego połączyło nas ze sobą, coś bardzo namacalnego. Pod koniec każdej rekolekcji medytacyjnych osoby, które po raz pierwszy doświadczyły ciszy we wspólnocie są zaskoczone więzią, jaką odkrywają wśród uczestników – ci, którzy nigdy dotąd się nie spotkali i ledwo się znają, darzą się takim zaufaniem i uczuciem, jakby łączyła ich głęboka, wieloletnia przyjaźń. Cisza przynosi wiele korzyści dla naszej psychicznej i duchowej kondycji, a przyjaźń jest jednym z najbardziej zaskakujących jej odkryć.

Gdy pakowaliśmy do samochodu nasze bagaże, wybiegł do nas dyrektor ośrodka. Pomyślałem, że jeszcze raz chce się z nami pożegnać lub być może o czymś zapomnieliśmy, lecz on poprosił nas, byśmy weszli z powrotem do środka. Nie do końca rozumiałem, co do nas mówi po hiszpańsku – powtarzał coś o damach nocy, tak mi się wydawało. Czas naglił i to zaproszenie było nam trochę nie na rękę, ale poszliśmy za nim do małego ogrodu wewnątrz ośrodka, którego wcześniej nie zauważyłem. Nieosłonięty dachem ustronny zakątek pełen był tropikalnych roślin, które były tak bujne, że można było niemal usłyszeć, jak rosną.

Duża, pnąca się roślina z rozłożystymi liśćmi przykuła od razu naszą uwagę. Dyrektor pokazał nam trzy czy cztery kwiaty, które rozkwitały na końcach zielonych pędów. Były białe i miały wiele warstw, a ich zapach był wprost zniewalający – zarówno delikatny, jak i słodki. Cała tropikalna zmysłowość kryła się w ich kolorze, kształcie i zapachu. To były epiphyllum oxypetalum, „królowe nocy”, tłumaczył nam przejęty dyrektor. „Nie możecie wyjechać, nie widząc ich” – nalegał. Najbardziej ekscytujący był fakt, że są to rzadko występujące i bardzo nietrwałe kwiaty. Rozkwitają bowiem jedynie raz w roku i to tylko podczas jednej nocy, wydając przy tym z siebie cudowną woń. Słuchaliśmy tych wszystkich informacji i staraliśmy się zapamiętać, co czyni te kwiaty tak niezwykłymi. Gdyby nam o nich nie powiedziano, przeszlibyśmy obok nieświadomi ich cichej i unikalnej obecności. Przez kilka minut rozmawialiśmy z ogrodnikiem i wypytywaliśmy go o wszystko. Widać było, że dla niego był to moment sakralny. Jego zachwyty był zaraźliwy. Przyglądaliśmy się kwiatom jeszcze przez chwilę w ciszy. Wdychaliśmy ich woń. Mówiliśmy o nich w ich obecności. Te kwiaty stały się jak niezwykle uwielbiane celebrytki, na które ludzie patrzą z

zachwytem, ale one nie odwzajemniają się niczym swoim wielbicielom; nie obdarzają ich tak wielką uwagą, jaką same skupiają na sobie.

Jak to zwykle bywa w chwilach, w których dzieje się coś niezwykle ekscytującego, pojawiło się w nas narastające napięcie między dwoma rodzajami czasu, które składają się na tego typu przeżycia. To napięcie między czasem karios, tą jedyną i niepowtarzalną okazją, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, który pulsuje i płonie jakimś niezwykle znaczącym, niepostrzeżenie acz z mocą zmieniającym wszystko, czego się tylko dotknie, a czasem naszego zegarka – chronos, który przypominał nam, że jeśli zaraz nie wyruszymy w drogę, to spóźnimy się na samolot, na co nie możemy sobie pozwolić. Wybraliśmy chronos. I wtedy nagle przypomniałem sobie o moim aparacie fotograficznym. Pomyślałem, że te piękne południowo-amerykańskie królowe byłyby wymarzonymi motywami do kalendarza WCCM na następny rok. Z zapałem zacząłem robić zdjęcia – z lampą i bez, korzystając z różnych ustawień i ujęć.

Starannie przejrzałem wszystkie zdjęcia, aż w końcu wybrałem najlepsze z nich. W przypadku większości fotografii dobre ujęcie to w dużej mierze kwestia szczęścia, lecz wysiłek, jaki wkładamy w ich wykonanie, pozwala nam czuć, że mamy swój udział w tworzeniu owego piękna, większy nawet niż faktycznie na to zasługujemy. Zdjęcia zostały bezpiecznie zapisane; magnetyczna pamięć obrazów jest trwała – ona zdawała się być wystarczającą ochroną przed przemijalnością rzeczy i ulotnością wspomnień. Aparat, który zapisał na karcie swojej pamięci wszystko, co mogłoby umknąć naszym oczom, powędrował bezpiecznie schowany do walizki pomiędzy ubraniami. Gdy nasz samolot uniósł się w powietrze, to wspaniałe – tym wspanialsze, że niezwykle krótkie – spotkanie z „królową nocy” dobiegło końca. Poczułem ulgę, że nie będę musiał patrzeć, jak ten piękny kwiat kuli się, marszczy i traci swój urzekający zapach.

Zdejmując walizkę z pasa bagażowego na lotnisku w Houston, zauważyłem, że jest niedomknięta. Próbowałem odsunąć od siebie tę okropną myśl, która na ten widok pojawiła się w mojej głowie. Przecież wiele razy odbierałem niedomkniętą walizkę i nigdy nic nie zginęło. Jednak gdy ją otworzyłem, niepodważalny brak aparatu był jak cichy płacz i wiedziałem, że stało się to, co najgorsze. I to nie utrata aparatu zabolęła mnie najbardziej, lecz fakt, że wraz z aparatem straciłem wszystkie zdjęcia tego wspaniałego kwiatu. Najwyraźniej moje zdjęcie Królowej nocy okazało się równie nietrwałe i ulotne jak ona sama. I być może ta strata sprawiła, że jej obraz zostanie na zawsze w mojej pamięci.

With love

Laurence Freeman OSB

czerwiec 2011

tłum. Agnieszka Borowiecka

Ewangelista

Czasami, gdy ktoś opowie ci swoją niezwykłą historię, masz nadzieję, że jest prawdziwa. Lecz nawet wtedy, gdy tak do końca nie jest, to i tak można być wdzięcznym za to, że podzielił się swoją opowieścią oraz za niezwykle bujną wyobraźnię.

Jednak jemu, mimo kilku momentów powątpiewania, uwierzyłem.

Jego ojciec był pastorem w Oklahomie, zanim jeszcze zapanowała napędzana przez pieniądź era mega-kościół, do których chodzi się w niedzielę jak do supermarketu, aby skorzystać z usług chrześcijańskiego fryzjera czy może z porady znajomego chrześcijańskiego doradcy podatkowego. W tamtych czasach parafia z tysiącem wiernych to była bardzo duża parafia.

W wieku siedmiu lat jego ojciec miał wizję – porównywalną do tych, które mieli wszyscy hebrajscy prorocy. Jej przekaz uświadomił mu, że jest powołany do tego, by być pastorem i zanim jeszcze jego rodzina i kościół uznali autentyczność tej wizji, on - mimo iż był małym chłopcem - wziął na siebie brzemień swojej wizji. Dźwigał je uczciwie przez całe swoje życie, nie okazując zniechęcenia, wewnętrznego rozdwojenia czy tym podobnych emocji, poza szczerą miłością do Słowa Bożego i pasją głoszenia go zwykłym zjadaczom chleba.

Jego syn, który opowiedział mi swą historię, miał znacznie bardziej bujne życie. On również zajął się posługą ewangelizacyjną, choć w przeciwieństwie do swego ojca nie czuł tak silnego powołania, które odmieniłoby jego życie. Zgłębiał wiedzę na studiach biblijnych na jednym z katolickich uniwersytetów. W tym czasie też znalazł się na pochyłej równi uzależnienia od seksu, narkotyków i alkoholu. Przypadkowy seks zakończył się niechcianą ciążą. Aż wreszcie całkowicie odciął się od swojego kościoła i swojej wiary. Jedyne co mu pozostało, to talent do zarabiania pieniędzy. Od czasu do czasu spotykał się ze swoim ojcem w przerwie w podróży biznesowej, w hotelu czy na lotnisku. Ten nigdy go nie potępiał i nie karmił. Zawsze z sercem brał go w ramiona i jak dobry ojciec przygarniał swego syna marnotrawnego, zanim ten jeszcze poczuł skruchę za swoje grzechy. Przy tym ciągle nie przestawał mu powtarzać, że Bóg wciąż ma wobec niego życiowy plan.

W czasie fali dzikiej prywatyzacji po upadku komunizmu wywiało go do Rosji, gdzie wdał się w niebezpieczny świat mafijnych interesów, hazardu i wielkich bankowych interesów. Nie miał nic do stracenia i stawiał wszystko na jedną kartę. Żył z rozmachem i niczego sobie nie odmawiał, miał domy w różnych zakątkach świata, cztery żony i prowadził styl życia, który skutecznie podsycił jego liczne uzależnienia. Punkt zwrotny nastąpił podczas nocnej imprezy w jednym z najdroższych domów publicznych w Europie. W pewnej chwili usłyszał „Wspaniałą łaskę” płynącą z hotelowego głośnika. Zatrzymał się i wsłuchał w jej słowa, pozwolił, by ta melodia powiodła go przez chwilę utraconej młodości i wiary, od której się przed laty odciął.

Nawrócenie nie przyszło z dnia na dzień, proces przemiany trwał wiele lat, lecz w końcu udało mu się porzucić konsumpcyjny styl życia i inne uzależnienia. Powrócił do głoszenia Ewangelii. Po raz pierwszy w życiu wiedział dokładnie, o czym mówi. „Zawsze byłem dobry w mówieniu o Bogu i miłości Chrystusa, lecz moje słowa nie

były poparte osobistym doświadczeniem”. Teraz jego uzależnieniem stało się głoszenie Dobrej Nowiny o Chrystusie, a jego życiowy projekt to rozpowszechnianie książeczki o życiu Jezusa, uproszczonej wersji Ewangelii, tak by trafiła ona do każdego dziecka na całym świecie. Jak na razie rozdał 500 milionów egzemplarzy. Zdaje sobie sprawę, że większość kopii trafi do kosza, ale ma nadzieję, że chociaż jedna na sto zostanie przeczytana. Nie przestał być człowiekiem interesów, posługuje się żargonem biznesu, ciągle jest na bieżąco z najnowszymi wydarzeniami. Zespół tłumaczy adaptuje jego książki na dwadzieścia języków, gdyż to pozwoli mu dotrzeć do 80% ludności świata. Jak każdy dobry ewangelista wykonuje swoją pracę najlepiej, jak potrafi, a resztę pozostawia Duchowi Świętemu.

Niedawno, bo w przeciągu ostatnich dwóch lat, odkrył kontemplacyjny wymiar Ewangelii i zaczął medytować. Nie miał wątpliwości, że powrót do tej formy chrześcijańskiej modlitwy jest również nieodzowny dla Kościoła Zielonoświątkowców i wynajdywał zmyślnie sposoby, aby mu ją przybliżyć. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że w dzisiejszych czasach odwoływanie się do ideałów tradycji monastycznej nie przemówiłoby do jego wiernych w sposób zrozumiały.

Niedługo po tym, jak usłyszałem tę historię, poznałem kolejną, w którą już nie trudno było mi uwierzyć. Brałem udział w pewnej dyskusji na temat diecezjalnego planu ewangelizacyjnego. Z uwagi na budżet i problemy wewnętrzne w tej diecezji ewangelizacja stała się częścią programu edukacji. Ciągle jednak brakowało osoby odpowiedzialnej za jego wdrożenie, gdyż diecezja czekała na wybór nowego biskupa. Tak więc sprawa ewangelizacji trwała przez pewien czas jakby „w zawieszaniu”. Żarliwe modlitwy parafian skupiały się na tym, by nowy biskup przywrócił ewangelizacji jej właściwe miejsce. Pomyślałem, że być może powinni się oni pomodlić również o głęboki kryzys wiary w diecezji, taki przez jaki przeszedł nasz zielonoświątkowy ewangelista. Taki kryzys może się stać polem działania Ducha Pięćdziesiątnicy, który zstąpiwszy na powstałe zgliszcza, uniesie się nad chaosem ruin i dokona dzieła nowego stworzenia. A przy tej okazji właściwe uszereguje wszystkie życiowe priorytety.

With love

Laurence Freeman OSB

lipiec 2011

tłum. Agnieszka Borowiecka

Agostino

Agostino miał wtedy dziesięć lat. Była wojna i Niemcy zaczęli się wycofywać. Trwały żniwa, a on wraz całą rodziną pracował w polu. Żołnierze przyprowadzili do nich swoje konie i wtedy Agostino zrozumiał, że zimowe zapasy można będzie spisać na straty. Podbiegł do jednego z niemieckich oficerów i powiedział, żeby tego nie robili, żeby nie zabierali im ich zbiorów. Żołnierz z całej siły uderzył go kolbą w twarz, wybił mu kilka zębów i rozciął policzek. Agostino pobiegł do domu po pomoc, a kiedy opatrywał ranę, zauważył, że na podwórko wjeżdża czołg z białą gwiazdą. Nie był pewien, czy to czołg wrogów, czy też sprzymierzonej armii, lecz wkrótce

okazało się, że byli to Amerykanie. Jeden z żołnierzy mówił po włosku i zapytał Agostina, skąd ta rana? Agostino opowiedział mu więc o niemieckich żołnierzach, a w zamian za to po raz pierwszy w życiu dostał tabliczkę czekolady.

Po wojnie Agostino wstąpił do armii i został przydzielony do gwardii prezydenckiej w Pałacu Kwirynalskim w Rzymie. Dla młodego człowieka z Maremmy była to ekscytująca przygoda. Jeden z najbardziej pierwotnych i nieodkrytych regionów Włoch rozciągał się poza granicami Toskanii, Umbrii i Lacjum. Agostino był wysoki, dobrze zbudowany i przystojny, otrzymał więc niezwykle prestiżową funkcję – miał stać na baczność, gdy głowy państw wraz z wysokimi urzędnikami rządowymi będą przechodziły, odprowadzane jego baczny spojrzeniem. Nie mógł jednak znieść hałasu i zgiełku wielkiego miasta i po roku wrócił do domu rodzinnego, gdzie teraz – mając siedemdziesiąt lat – wspomina tamte czasy.

Był jedynym synem w rodzinie, a jego rodzice ciężko pracowali, by ich gospodarstwo się rozrastało i by zapewnić swemu synowi dostatnie życie i poważanie wśród lokalnej społeczności. Jego broń wciąż wisi pomiędzy obrazem Matki Boskiej i ojca Pio, przypominając o tym, że Agostino był kiedyś myśliwym. Nigdy nie zabijał zajęcy i jeleni, gdyż uważał, że są zbyt pięknymi stworzeniami, by na nie polować. Nawet kurczaki z własnej hodowli uśmiercał szybko, jednym strzałem, a nie jak to się zwykle robi, ukłęczając im łby – tego nie byłby w stanie zrobić. Jedynie dziki, nieposkromione odyńce, których pełno było w okolicznych lasach, były dla niego na tyle groźne i nieprzyjemne, że mógł na nie polować bez wyrzutów sumienia. Zazwyczaj grupa myśliwych z psami płoszyła je z bezpiecznego legowiska i naganiała zwierzynę pod odstrzał pozostałym myśliwym. Jednak Agostino wołał polować w pojedynkę. Dźwigał je na swoich silnych ramionach, dwadzieścia a nawet więcej sztuk w sezonie łowieckim, i sam zanosił do domu.

Maremma to stara etruska kraina pokryta grobowcami tych cywilizowanych ludzi bez literackiej kultury, których Rzymianie zarówno naśladowali, jak i patrzyli na nich nieco z góry. Uważali ich za zniewieściałych ze względu na ich długie włosy i równouprawnienie, jakie przyznali kobietom, które miały prawo siedzieć obok swoich mężów, co potwierdzają liczne malowidła na ścianach grobowców. Jakiś niezwykle spokojny panuje wciąż w tych rzadko uczęszczanych przez turystów miejscach, świadcząc być może zarówno o miłości tych ludzi do życia, jak i najwyraźniej pozbawionym strachu stosunku do śmierci. Pewnego dnia Agostino znalazł na swoim polu etruską tarczę, prawdopodobnie niezwykle cenną rzecz o wyjątkowej wartości. Wzbudziła w nim nieco większe zainteresowanie niż garnki i kubki, które częstokroć znajdował na swojej ziemi. Lecz także i tę tarczę postawił przed swoimi drzwiami, jak inne znalezione przedmioty, które latami tam składował. Aż któregoś nocy tarcza została skradziona. Prawdę powiedziawszy, Agostino nie specjalnie przejął się tą kradzieżą, podobnie zresztą jak nie przejmował się innymi stratami w swoim życiu.

Pewnego dnia pewien gładko mówiący człowiek z miasta namówił go na stuprocentowy interes polegający na osuszeniu stawu, w którym kiedyś Agostino poił swoje owce i konie. Pieniądze miały pochodzić z kredytu, który Agostino otrzymał pod zastaw domu i całej swojej ziemi. Całe przedsięwzięcie zakończyło się fiaskiem, oszust zarobił na tym krocie, a Agostino stracił wszystko, co posiadał. Gdy któregoś dnia zjawił się on u Agostina, by przejąć jeszcze i jego dom, ten przepędził go, strzelając do niego z dubeltówki. Nikt nie wezwał policji i w końcu Agostino

przeboleł i tę kolejną stratę w swoim życiu. Jego przyjaciele próbowali rozmawiać z prawnikami, ale od czasu rządów Berlusconiego prawo nie stoi po stronie najbiedniejszych. Kiedy wokół jego domu co rusz powstają coraz to nowe osiedla, on jest w nim ledwo tolerowany. Dla niego samego to brutalna rzeczywistość, w której tylko wiara dodaje mu sił i przynosi pocieszenie. Jednak najbardziej ciąży mu wstyd i zawód, jaki sprawił swoim rodzicom, którzy ciężko pracowali, by zapewnić dostatnie życie i szacunek ludzi jemu i jego żonie, której nigdy nie miał, oraz rodzinie, której nigdy nie założył.

Przed pełnym serdeczności lunchem, podczas którego jedliśmy pastę i sałatkę, odprawiliśmy mszę świętą, gromadząc się przy jego prostym kuchennym stole. Było to również radosne świętowanie wspólnoty wiary przy łamaniu chleba i wśród słów przyjaźni. I chociaż się tego nie spodziewaliśmy – aczkolwiek nie było to aż tak niewytłumaczalne – to w pewnym momencie, choć prawdopodobnie z różnych powodów, wszystkim nam popłynęły z oczu łzy.

With love

Laurence freeman OSB

sierpień 2011

tłum. Agnieszka Borowiecka